

T. Pawłowski

Plamy na bandażu : (Mariusz Borowiak, Plamy na banderze, Alma-Press, Warszawa 2007, s. 415)

Przegląd Historyczny 100/4, 825-827

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TYMOTEU SZ PAWŁOWSKI
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Plamy na bandażu

(Mariusz Borowiak, *Plamy na banderze*,
Alma-Press, Warszawa 2007, s. 415)

„Treść książki to zapis różnorodności sytuacji i zachowań ludzi” — napisał w ostatnim zdaniu „Wprowadzenia” autor. Niestety — skłamał. Treścią książki nie są „różnorodne sytuacje i zachowania”. Jej treścią są wyłącznie skandale, kryzysy i wypadki. Autor powinien napisać o tym wprost. Napisać, że chciał odbrzązować Polską Marynarkę Wojenną. Napisać, że odkłamując historię, obalając wykreowanych, sztucznych „bohaterów”, przywracamy historii tych, którzy na takie miano zasłużyli naprawdę. Jest to szczytne zadanie. Tyle tylko, że — w tym akurat przypadku — wykonane bardzo niestannie.

Jak już wspomniałem, treścią książki są wstydliwe — według autora — sprawy, które zdarzyły się w Polskiej Marynarce Wojennej w czasie II wojny światowej (i w latach jej bliskich). Można przeczytać o wypadkach morskich, kolizjach, błędach w sztuce, samopostrzeleniach, przypadkowych eksplozjach, zawiści, tchórzostwie, zdradzie. Zresztą więcej niż połowa rozdziałów jest znana z poprzednich publikacji autora, przede wszystkim z „Małej Floty bez mitów” (części I i II). Większość tych tekstów pozostała niezmieniona. I to pomimo nowo odnalezionych tropów — tak jest na przykład z tekstem o dowódcy ORP „Orzeł” komandorze Kłockowskim. Zmiany są kosmetyczne: niektóre akapity zmieniły miejsce, a przy okazji niektóre cytaty — wyodrębnione w poprzednich publikacjach — stały się integralną częścią tekstu autorskiego.

Formalnie rzecz ujmując, książka zawiera niemal czterdzieści rozdziałów, kilka załączników oraz bibliografię. Pięćdziesiąt stron przeznaczonych na publikację załączników można by doprawdy wykorzystać lepiej. Dwadzieścia dokumentów tam prezentowanych ma wartość jedynie ilustracyjną — nie wiadomo, kiedy, gdzie, ani w jakich okolicznościach powstały. Tego, gdzie znajdują się ich oryginały, można domyślać się tylko po widocznych gdzieś tam stemplach archiwów. Również bibliografia jest doskonałym przykładem, jak nie należy jej sporządzać. Do źródeł archiwalnych autor zaliczył... Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Oczywiście budynek przy ulicy Hankiewicza jest źródłem sam w sobie, ale chyba jednak chodziło autorowi o zespoły archiwalne tam umieszczone, tak samo jak i o archiwalia umieszczone w innych wspomnianych w bibliografii budynkach. Wypadałoby jednak być konsekwentnym: skoro adresem Centralnego Archiwum Wojskowego jest według autora dzielnica Warszawy zwana Rembertowem, to czemu krzywdzić Ochotę zabierając jej prawo goszczenia AAN? Podobny nieporządek panuje w dziale „Artykuły i opracowania”. Zachodzę w głowę, czy

„Pamiętniki” Jerzego Kirchmayera to artykuł, czy opracowanie? A czym są w takim razie „Wspomnienia” Bogumiła Nowotnego? Czy z takim nieporządkiem w tak prostych sprawach jak bibliografia tekst merytoryczny może być rzetelny?

Nie wiem. I mało kto będzie to wiedział. Może autor? Książka jest bowiem całkowicie pozbawiona przypisów. Przypisy oczywiście nie zawsze są potrzebne. Gdy opisuje się sprawy powszechnie znane, albo takie, w których nie trzeba dbać o każde słowo. Ale w takiej książce? W książce, w której poruszane są sprawy drażliwe, dyskusyjne, długo skrywane? Plotki, pomówienia, wrogie opinie? Skąd mogę wiedzieć, czy słowa zacytowane przez Mariusza Borowiaka zostały zanotowane przez stenografa w chwili ich wypowiedzenia, czy sześćdziesiąt lat później wydobyte z dna płatającej figle pamięci? Jak w takiej sytuacji można dokonać tego, co każdy historyk jest obowiązany zrobić zawsze, gdy ma do czynienia ze źródłami, czyli choć pobieżnej analizy ich wiarygodności?

Wszystko wskazuje na to, że sam Mariusz Borowiak nie przeprowadził takiej analizy. Wszelkie relacje i ustalenia przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza. Czy zdaje sobie sprawę z jedynie politycznej roli wspomnianych przez niego „komisji lustracyjnych”? Biorąc pod uwagę to, co napisał we „Wprowadzeniu” — wątpliwe. Czy zdaje sobie sprawę z rozgrywek personalnych na łonie polskiego wychodźstwa? Wątpię.

Muszę się przyznać, że ja sam pisząc, iż książka jest pozbawiona przypisów, minąłem się z prawdą. Przypisy są — dwa. Są na tyle symptomatyczne, że warto poświęcić im nieco uwagi. Jeden tłumaczy łaciński tytuł rozdziału: „Res iudicata pro veritate habetur”. Tyle tylko, że gdy Rzymianie mawiali, że „wyrok sądu uważa się za prawdę” nie mieli na myśli sądów wojskowych! Sądy wojskowe — szczególnie w czasie wojny — naprawdę funkcjonują na nieco innych zasadach niż cywilne. Poza tym... czym byśmy się zajmowali — my historycy i nie tylko historycy — gdyby rzeczy raz osądzone uważano za prawdę? Galileusza też już osądzono!!!

Drugi przypis mógłby być uzupełnieniem pierwszego. Brzmi bowiem: „Na temat działalności komisji śledczej, która na wniosek rządu generała Władysława Sikorskiego przez 5 lat pracowała nad ustaleniami przyczyny klęski we wrześniu 1939 roku, pisze A. Garlicki, »Lustracja sanacji«, »Polityka«, nr 37 z 17 września 2005, s. 67–69”. Być może, gdyby autor opierał swoją wiedzę nie na tygodnikach, a na przykład na dość łatwo dostępnym artykule Andrzeja Grzywacza i Marcina Kwietnia, „Sikorszczyki kontra Sanatorzy 1939–1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)”, opublikowanym w „Zeszytach Historycznych” w 1999 r., wiedziałby, że komisji tych było więcej i ich zadania nie polegały „na ustaleniu przyczyn”. Być może dowiedziałby się także, jaką wartość mają ustalenia tych komisji i wyroki tamtych sądów. Świadomość tego, jak ówczesnie wyglądała sytuacja polityczna wśród Polaków na obczyźnie, jakie rozgrywki personalne miały miejsce w kręgu najwyższych władz wojskowych, jakie były okoliczności zbierania relacji, jest koniecznie potrzebna do zajmowania się Polskimi Siłami Zbrojnymi na obczyźnie. Bez tego nakreślony obraz będzie niewyraźny i zamazany, a uczestnicy tamtych zdarzeń będą mieli głębię bohaterów komiksów.

I tak jest u Mariusza Borowiaka. Oczywiście bezstronność nie jest konieczna, lecz czemu tak bezkrytycznie przyjmować opinie innych? Na szczególne potępienie zasługuje to, że autor używa wobec oficerów Polskiej Marynarki Wojennej przezwisk i epitetów. Co prawda komandor Kłoczkowski był nazywany przez swoich znajomych „Kłoczem”,

lecz czy wypada używać tego przydomka Mariuszowi Borowiakowi? Dobrze przynajmniej, że nie posuwa się do nazywania szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej — admirała Świrskiego — „Świrem”. Brak szacunku dla bohaterów własnej książki dobrze charakteryzuje opis objęcia dowództwa „Błyskawicy” przez komandora Umeckiego (s. 177): „Trudno wyrokować i wysuwać niepotwierdzone hipotezy, czy decyzja szefa KMW, desygnująca na to stanowisko byłego dowódcę okrętu szkolnego »Iskra«, została powzięta pod wpływem chwili, czy po wnikliwej analizie. Jedną z wersji podaje, że Jerzy Umecki był protegowanym admirała Świrskiego”. Niestety, autor nie napisał, kto był autorem tej wersji? Powiedziały baby w maglu? Przeczytał to na forum internetowym?

Można jednak podejrzewać, że sposób, w jaki Mariusz Borowiak ocenia oficerów, nie ma — na szczęście — głębszego sensu i większego znaczenia. Autor *explicite* — i to w tytule rozdziału — określa komandora Tadeusza Podjazd–Morgensterna jako „marnego dowódcę”. Żeby jeszcze miał ku temu podstawę... Ale epitet ten pojawia się w związku z wypadkiem nawigacyjnym, który przydarzył się na niszczycielu „Grom”. Może więc epitet „marny nawigator” byłby w tej sytuacji właściwszy? A może lepiej by było powstrzymać się od pochopnych ocen? Autor sugeruje (s. 176), że z powodu tego wypadku — zawinionego przez Podjazd–Morgensterna — „dowódca Floty kontradmirał Józef Unrug nie powierzył [mu] dowodzenia żadnym okrętem wojennym. Lata II wojny światowej spędził z dala od pokładów okrętów wojennych, pełniąc obowiązki pierwszego *attaché* morskiego w Sztokholmie (grudzień 1939 — wrzesień 1941) czy *attaché* morskiego w Waszyngtonie (październik 1942 — czerwiec 1945)”. Bardzo dziwnie to brzmi, jeśli weźmie się pod uwagę, co Mariusz Borowiak napisał o Podjazd–Morgensternie pięćdziesiąt stron wcześniej (s. 119): „Ten wyższy oficer uważany był w Marynarce Wojennej za niekwestionowany autorytet”. Dodam jeszcze, że Podjazd–Morgenstern, o czym wspomina i Mariusz Borowiak, był kandydatem na szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej.

Inną sprawą jest postmodernistyczne podejście autora do terminologii. Borowiakowi zdarzają się dziwne konstrukcje językowe, nazwy okrętów Rzeczypospolitej Polskiej czasami są odmieniane, czasami nie. Bywa, że dwoistość taka występuje w jednym zdaniu. Na jednej stronie możemy też spotkać określenie *E-boat* oraz *Schnellboot*. Chodzi oczywiście o ten sam rodzaj okrętu, tylko że raz autor nazywa go z angielska, a drugi raz z niemiecka. Brytyjskie okręty są uzbrojone w 20 mm karabiny maszynowe (!) i działa 76 mm (s. 191), podobne działa ma ORP „Sokół” (zdjęcie po s. 354), a ORP „Gryf” uzbrojony był w... uniwersalne (!) działa 120 mm (zdjęcie po s. 176) oraz dwulufowe (!) działka przeciwlotnicze kal. 40 mm (zdjęcie po s. 128). Warto też dodać, że według autora „Bismarck” był „superpancernikiem” (zdjęcie po s. 288). Oddajmy jednak sprawiedliwość autorowi, odpowiedzialność za niektóre z tych (i podobnych) błędów ponosi również redaktor książki — Andrzej Zasieczny.

Inwencja językowa autora jest zadziwiająca. Wspomniany pancernik nazwany jest „monstrualnym potworem”, a tytuły rozdziałów brzmią jak w tabloidach: „Krew na błotach”, „Pod pręgierzem nieuczciwych pomówień”, „Ofiara tajemniczej zawiści”, „Wątpliwa moralność”. Sam tytuł książki jest w swej pretensjonalności beznadziejny: „Plamy na banderze”. O co w nim chodzi? Czy zgodna z intencją autora jest sugestia, że ktoś ją splamił swym niehonorowym postępowaniem? Czy chodzi może o to, że w Polskiej